



S. P. ZYGMUNT GŁOGER PRZED SWOIM DWOREM (NOWYM) W JEŻEWIE

fot. M. Wisznicki.



ZYGMUNT GLOGER

(Garstka wspomnień osobistych w pierwszą rocznicę zgonu).

Żądacie odemnie, abym na kartach sympatycznego organu waszego przedstawił wizerunek Tego, o którym w rzewnej mowie nad otwartą przed rokiem mogiłą zacny i złotousty wasz delegat wyrzekł, że był Towarzystwa Krajoznawczego i „głową, i duszą, i sercem...”

Żaloszny i smutny nad wyraz wkładacie na mnie obowiązek; ale cóż robić, taka to już kolej tych, co zapędziwszy się na drodze żywota grzebać tylko muszą, opłakiwać cnotliwych i sławić...

Smutny to ale konieczny i święty obowiązek, a spełniam go tem skwapliwiej, że słuszna, abyśmy wybitniejszy i trwalszy znak naszego żalu i czci naszej pozostawili na kartach tego pisma, które nieodżałowany Gloger tak gorąco miłował.

Ś. p. prezes wasz był żywym typem Lindów, Bandków, Kolbergów, Estreicherów, typem tych ludzi pełnych niespożytych zasług, co z nadludzką usilnością pracowali dla społeczeństwa w imię obowiązku, dla przysporzenia mu chwały i pożytku.

Niestety, śmierć straszna strzaskała przedwcześnie ten konar potężny. Są jednak owoce jego i żyją wspomnienia.

Wam, coście na Glogera patrzyli, jeśli nie na schyłku życia, to od chwili, gdy w grodzie

naszym po Wójcickim placówkę zajął i po Podczaszyńskim, nieinaczej się on chyba przedstawia jak uosobienie dobroci, pobłażania, i przede wszystkim spokoju, powagi...

Mnie całkiem inaczej; sięgnąwszy bowiem w przeszłość pamięcią, żywo mi staje przed oczyma ów wesóły, zgrabny, smukły, w siwej

mazowieckiej na prawem uchu czapie młodzieniec, lekko z nieodłącznym swym druhem Andriolim kroczący do słynnego p. Antoniego (Pługa) na Nowym Świecie „karawanseraju”, w którym dzięki pobłażliwości gospodarza, można było przegwizdać, przepieśniewać i przegawędzić nieraz wesóło czas do samego świtu...

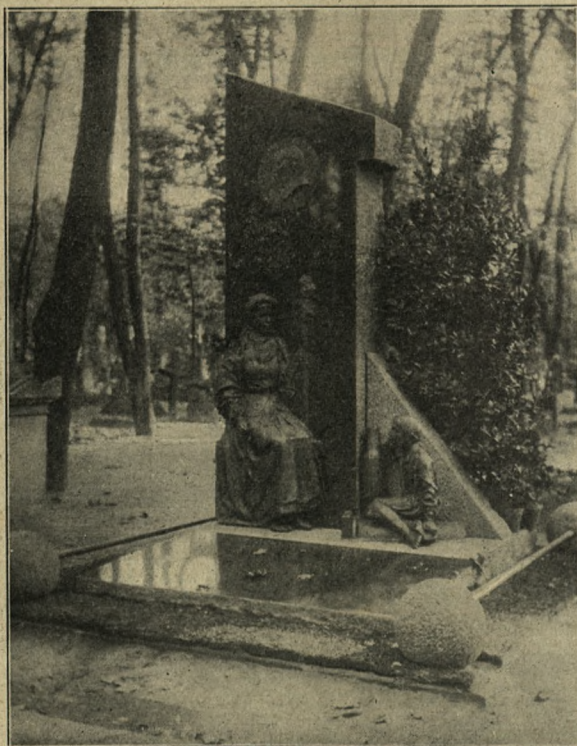
Nieodżałowanego Glogera poznałem przed laty czterdziestu u Adryana Baranieckiego w Krakowie. On naówczas już od paru lat był autorem „Obzędów weselnych” ja zaś nie śmiałem

jeszcze swych lotów próbować.

Odrazu mnie pociągnęła uczynność jego i dobroć, oraz niezwykła w tym wieku równość charakteru. Czasu dla mnie stracił niemało, odwiedzał, zaznajamiał z rzeczami i ludźmi, dawał liczne wskazówki.

Serce moje, przejęte głęboką wdzięcznością, przylgnęło do pana Zygmunta już wtedy na zawsze.

Od tej chwili zaczęliśmy stale korespon-



POMNIK Ś. P. Z. GLOGERA (rzeźba Cz. Makowskiego) odsłonięty na Powązkach w Warszawie d. 19 października r. b.

fot. St. Liszewski



STARY DWÓR W JEŻEWIE

fot. M. Wisznicki



LAMUS W JEŻEWIE, GDZIE SIĘ MIEŚCIŁY ZBIORY

dować ze sobą i żyliśmy w nieustannym kontakcie. On działał na Starem Mazowszu i Podlasiu, ja w Krakowskim, a z biegiem czasu na Litwie. Pan Zygmunt poślubił już wtedy ideę wydobycia z pomroki dziejowej historii kultury naszej, a ja wnet dzięki podniecie Kolberga w jego ślady wstąpiłem. Obraz Macierzy, która tyle pokoleń wypiastrowała, nosiłem w swej duszy. Idee i wspólne umiłowania związek nasz z każdym rokiem coraz bardziej zacieśniały. A najmocniej chyba zacieśniała owa według Telimeny:

...„Wspólna Sopliców choroba, że im oprócz Ojczyzny—nic się nie podoba!”

Po latach czterech, pięciu pan Zygmunt, zwał mnie już „bratem”, „druhem swoim serdecznym i najbliższym przyjacielem”...

W roku 1876 ogarnął mnie szal, rwałem się w świat daleki... Powstrzymał mnie: „Cięży na nas—pisał—obowiązek pracy zacnej, spokojnej, wytrwałej, obowiązek, kochany Przyjacielu, najświętszy ze wszystkich obowiązków. W rękę umiejętnie pracujących pokoleń leży klucz przyszłości i potęga ojczyzny”...

Przeżyliśmy i widzieliśmy dużo z nieod-

wołanym Glogerem wypadków mroczących duszę.

Czterdzieści lat temu nie weselej świat wyglądał niż dzisiaj: pogrom naszej jedynej nadziei—Francyi, dławił nam gardła, chaty gwałtem wołały o światło, w kraju atmosfera była nie do zniesienia...

To też, ilekroć zjechawszy się w „karawanseraju”, zaczęliśmy smutnych z różnych stron kraju udzielać sobie nowin, zacny gospodarz rozpacznie kiwał pochyloną głową, ów kłął, Andriolli groźnie ścisnął szczęki i rozdymał nozdrza, jeden tylko z pośród nas Gloger miał zawsze spokój człowieka wierzącego i wzrok czysty człowieka obowiązku. „W pracy—mawiał—ratunek nasz jedyny”...

Na tej twarzy przez lat czterdzieści nigdy nie zauważyłem chmury gniewu lub złości.


Jeśli miał zawziętość, to do pracy; jeżeli żywił wzdargę, to nie unosząc się, nie wybuchając, żywił ją do podłości.

Zaiste, był to mąż nie naszej epoki—nerwy miał żelazne!

C. D. N.

M. Federowski





Roślina w krajobrazie.

4)

Oprócz drzew, zrosniętych z sobą konarami z przyczyn naturalnych, w niektórych okolicach dają się zauważyć zrosty, wywołane niewątpliwie ręką ludzką — skutkiem sztucznego związania młodych drzewek wierchołkami lub bocznymi gałęziami. Takie sztuczne zrosty można jednakże odróżnić niekiedy z tego, że pnie osobników zrosniętych są ku sobie skośnie pochylone, nie zaś odchylone, co bywa zawsze przy zrostach naturalnych, wywołanych zbyt blizkiem sąsiedztwem pni zrosniętych.

Jeżeli górna część jednego z takich zrosniętych z sobą na pewnej wysokości pnia zamrze, uschnie i w ten lub inny sposób zostanie odłamana, to wtedy powstaje drzewo *d w u n o ż n e*, uważane za potwornego dziwołaga.

Podobna *d w u n o ż n o ś ć* lub nawet *w i e l o n o ż n o ś ć* drzew powstaje zresztą dość często na zupełnie innej drodze. Jeżeli drzewo, co się najczęściej zdarza z sosnami, wyrosnie na nieznacznym wzniesieniu gruntu — na kopcu, na wale, na brzegu rowu przydrożnego lub na krawędzi wysokiego urwistego brzegu rzeki czy też na skale, to zdarzyć się może, że pod wpływem wydmuchiwania przez wiatr lub splukiwania przez wodę deszczową otaczającą podstawę drzewa gleba zostanie zniesiona, zdmuchana lub splukana, i górna część najgrubszych korzeni zostanie obnażona. Korzenie te pod bezpośrednim wpływem atmosfery przybierają z czasem wygląd pni, a całe drzewo wygląda tak, jak gdyby stało na kilku podparte nogach.²

W sposób, zbliżony do zrastania się, powstaje niekiedy okręcanie się jednego pnia wężowato dokoła drugiego, przyczem pod wpływem takiego uścisku jeden egzemplarz z czasem musi zginąć, jak giną pnie kolosalnych drzew podzwrotnikowych w uściskach ljan drzewiastych. Zdarzało mi się spotykać w ten sposób splecione ze sobą śrubowato sosny i dęby.

Zrastanie się ze sobą osobników, należących do dwu różnych gatunków roślinnych, zdarza się stosunkowo rzadko. Najczęściej notowano wypadki zrastania się buków z dębami i dębów z lipami, rzadziej zaś buka z klonem lub sosną, dębu z brzozą i głogu z dziką jałbłonią. Szczegółowe zbadanie drewna takich

drzew po ścięciu wykazało, że właściwego zrastania się, tak iżby tkanki jednego gatunku zespały się tak ściśle z sobą, żeby możliwe było przechodzenie soków z dębu do buka czy lipy lub odwrotnie, nie bywa nigdy — zachodzi tu poprostu tylko bardzo ściśle zetknięcie kory lub drewna.

Jeżeli przyjmowanie przez rośliny drzewiaste, posiadające normalnie pnie pojedyncze, postaci krzewiastych w kraju naszym z tych lub innych przyczyn jest zjawiskiem względnie częstym i pospolitem, to odwrotnie — wyrastanie naszych krzewów w postaci drzewek jest znacznie rzadsze. Wyjątek pod tym względem stanowi jałowiec, który skłonność do wyrastania w postaci egzemplarzy o prostym, pojedynczym głównym pniu, dosięgających niekiedy znacznej wysokości, wykazuje bardzo wielką.

Zresztą ogólna postać jałowców naszych, nawet wtedy, kiedy wyrastają z ziemi kilku pędami, często układa się w jednolitą, stożkowatą, gęstą koronę, i śmiało powiedzieć można, że jałowce częściej byłyby u nas spotykane jako jednopienne drzewka, niż jako rozłożyste krzewy, gdyby roślinie tej, niewybrednej pod względem gleby i wilgoci, nie wypadało najczęściej wyrastać na pastwiskach; uszkodzenia ze strony pasącego się bydła, a dodajmy — i ze strony pasących pastuchów — najczęściej zmuszają te piękne drzewka do krzewienia się od dołu, by powetować sobie straty w obciętych pędach od góry.

Dowodem słuszności tego spostrzeżenia jest okoliczność, że drzewiaste jałowce najczęściej spotykamy w miejscowościach z tych lub innych powodów niedostępnych dla bydła i innych szkodników, oraz na rozległych obszarach piaszczystych, na które dla braku wszelkiej roślinności zielnej bydło nie bywa wpędzane.

Żałować należy, że nasi miłośnicy przyrody nie roztaczają dostatecznej opieki nad tym poniewieranym powszechnie „krzewem”, w tak wybitny sposób zdobiącym nasze pustkowie, a to samo powiedzieć można i o wielu innych naszych krzewach liściastych, które, niewiedzieć dlaczego, uważane są za niegodne



bliszej uwagi „pospólstwo”, które też bezkarnie wycina się i łamie, depcze i pali, zapominając, ile piękna krajobrazy nasze zawdzięczają tym właśnie krzewom, czy to tworzącym zwarte podszycie sztywnych wysokopiennych lasów, czy otulającym zbyt ostre kanty i monotonne obszary rzeźby geologicznej, czy też wreszcie tworzącym bogate ramy naszych wód i bagien.

Sprawa zarośli krzewiastych u nas jest prawie zupełnie nieuporządkowana.

Krzewami zarośnięte u nas bywają przeważnie te miejsca i obszary, które z tych lub innych względów uważane są za nieużytki. W krajach zaś sąsiadujących z nami od zachodu, gdzie każdą niemal piędź ziemi postarano się wyzyskać, znaczniejsze obszary krzewów właściwych spotkać można chyba wśród niedostępnych bagien i topieli oraz wśród skalistych okolic górskich. Poza tem rozrostem krzewów pokierowano tam umiejętną ręką.

W Niemczech, przejeżdżając przez okolicę, pozostającą w wysokiej kulturze rolnej, już z okna pociągu zauważyć można, że krzewy w określony, prawidłowy sposób rosną — na miedzach, wałach ochronnych, na brzegach rzek i rowów oraz — pierścieniem, dokoła kęp drzewnych.

Ta prawidłowość w występowaniu krzewów, których nawet wśród łąnów zboża lub łąk siekiera, nóż i nożyce ogrodnicze tykają w sposób planowy, nadaje swoisty wymuskany charakter tamtejszym krajobrazom, tak wręcz odmiennym od naszych, gdzie przeważnie żadnej prawidłowości w rozmieszczeniu zarośli krzewiastych dostrzedz nie można.

I pod tym bodaj względem przyznać można wyższość naszym krajobrazom; wyróżniają się one większą różnorodnością w kolorycie i liniach nawet w takich, w najwyższej kulturze stojących okolicach, jak Kujawy, niż w takiej np. Brandenburgii lub nawet w Poznańskiem.

I różnorodność ta rośnie, wzmagą się w stopniu aż nadto widocznym od zachodu ku wschodowi i od południa ku północy. Planowa interwencja człowieka pod tym względem w sposób widoczny na dobre krajobrazowi nie wychodzi — zgodzić się z tem musi i esteta i przyrodnik.

To też najbliższym obowiązkiem wszystkich, dbających o zachowanie piękna naszych krajobrazów, o ile ono zależne jest od rozmieszczenia naszej dzikiej roślinności, jest wyższość tę zrozumieć, odczuć i należyście ocenić, a co zatem niewątpliwie pójdzie, należyta to piękno otoczyć opieką.

Krok w krok za pługiem, siekierą i kilofem i do naszego kraju wkroczy, wkraczać musi „uporządkowanie” dzikiej naszej roślinności, wydarcie jej obszernych naszych terenów na korzyść postępowego rolnictwa, racjonalnego leśnictwa, wielkiego przemysłu, a z postępem tym nastąpić może usuwanie największego powabu naszych krajobrazów — naszej pierwotnej roślinności. I to niewątpliwie nastąpi, jeżeli tak ogół nasz, jak poszczególne jednostki, poszczególni obywatele, nie zwrócą bacniejszej uwagi na te skarby, jakie jeszcze dotychczas wśród pól i łąk, wśród lasów i zarośli posiadamy.

Redakcja nasza zgromadziła znaczny materiał, ilustrujący różne niezwykle okazy naszej flory, i podawać go będzie stopniowo w „Ziemi”, zachęcając przede wszystkim czytelników swoich, do nadsyłania swych własnych spostrzeżeń oraz ilustracji w rysunkach i fotografiach z odpowiednimi opisami.

W szkicu niniejszym pragnęliśmy zwrócić uwagę przede wszystkim na te okazy, które na szczególną zasługują uwagę swą niezwykłością postaci i które nadają charakterystyczne piętno poszczególnym krajobrazom.

K. Kulwiec.





Z podróży Węgrów w Polsce. ¹⁾

Przekład obu podróży po Polsce, których druk w numerze niniejszym rozpoczynamy, za wdzięczamy dr. Adryanowi Diveky'emu. Przekład, po raz pierwszy dla nas specjalnie z tekstu węgierskiego dokonany, obejmuje luźne notatki podróże dwóch cudzoziemców, których losy do Polski rzuciły. Niewiele tu w tych odręcznych notatkach głębszych spostrzeżeń, obeznanie się z krajem i jego stosunkami nie zawsze wystarczające, język chropawy. Mali to ludzie, nie stylści i nie statyści, ale przecie w tych pośpiesznych, migawką zdejmowanych obrazach bez retuszu, kryje się niejedyn szczegół, skądinąd nieznan, niejedyn drobny, ale ciekawy rys obyczajowy, barwny choć w dość mętnej zwierciadle odbity. I dlatego postanowiliśmy te ulotne wrażenia podróże literaturze polskiej przyswoić, sądząc, że zainteresują one tych, którzy radziby raz jeszcze sprawdzić, jak załamywał się w umysłach współczesnych cudzoziemców obraz Polski, własnym synom znany dość miernie.

Red.

Z Munkacsu przez Lwów i Warszawę do Gdańska

(z notatek Adama Kiralyego).¹⁾

Wyruszyliśmy z jaśnie wielmożnym panem Adamem Vay z zamku Munkácsu dnia 29 lutego i tegoż dnia dotarliśmy do wsi, nazywającej się Szolocsma.²⁾ Tam, nie mogąc się przeprawić przez wody Pinye, przenocowaliśmy we wsi, ale ponieważ rzeka bardzo wezbrała i szła kra, byliśmy zmuszeni wrócić do tej samej wsi i tam bawić usque Diem 3 Martii, oczekując opadnięcia wody. Wyruszywszy stamtąd, przybyliśmy do leżącej na granicy Zawadki, wsi naszego najjaśniejszego pana, gdzie też nocowaliśmy.

Wyruszywszy stąd rano, noc spędziliśmy w Koziowie, we wsi jaśnie wielmożnej pani Sieniawskiej; wysłała ona naprzeciw nas hajduków,

¹⁾ Po nieszczęśliwym ukończeniu powstania Franciszka II Rakoczego, po pokoju w Szathmar-Nemeti, nie chciał się książę ten zgodzić na warunki pokoju, woląc raczej iść na wygnanie i stracić wszystkie swoje olbrzymie majątki. Emigrował też z Węgier do Polski, a stąd do Francji, później do Turcji; towarzyszył mu między innymi i Adam Szatmary Kiraly, który był przy księciu od 1711 do 1717. W roku 1717 wrócił do Węgier.

²⁾ miasto na Górnych Węgrzech.

którzy darmo nam i naszym koniom dostarczyli żywności i noclegu.

Wyruszywszy stąd do dnia, około południa przybyliśmy do miasta Skole¹⁾. Miasto to leży między dwoma wzgórzami, w dolinie, nad rzeką Stryjem, jest bardzo zacieśnione i zamieszkałe wyłącznie przez samych żydów. Przy nim leży t. zw. zamek, który właściwie nie jest godzien nazwy zamku, nie mając odpowiedniej mocy; otoczono jakąś małą fosą i palisadą pewne miejsce na nizinie, postawiono na niem kilka domów i to zowią zamkiem. Na obydwu krańcach miasta, na strzał od niego, ciągną się wzgórza.

Stąd wyruszyliśmy tegoż dnia i w Synowodzku, we wsi jaśnie wielmożnej pani Sieniawskiej jedliśmy obiad, skąd wyruszywszy popołudniu, blisko wsi przeszliśmy rzekę Stryj. Za rzeką znaleźliśmy brzeg dość wysoki, jakiego już więcej nie spotkaliśmy, bo cała Polska jest jedną płaską niziną.

Wieczorem o godzinie ósmej przybyliśmy do zamku Stryja, gdzie oprócz pani Adamowej Vay i Andrzejawej Torok, tudzież Stefana Kantora i sekretarza Kacpra Beniczky'ego, z węgów nie było nikogo więcej. Stryj oddalony jest od Munkacsu o szesnaście mil.

Zamek w Stryju był prawdopodobnie kiedyś bardzo silny, bo i dziś jeszcze jest dosyć okazały; cztery jego baszty o wysokości domu są dosyć grube, zbudowane w kwadrat, mają jedną bramę i naokoło otoczone są wodą tak szeroką, że kamień ręką rzucony nie dosięga drugiego brzegu. Zgłębić jej nie można kopią, a most na niej ma 180 stóp. Zaraz obok zamku jest miasto dosyć wielkie, zacieśnione, przeważnie przez żydów zamieszkałe, polacy zaś zajmują przedmieście. Stryj posiada siedem świątyń, z których dwie są katolickie, cztery cerkwie i jedna bożnica. Obok miasta płynie rzeka, zwana tak samo Stryj.

Z polecenia naszego najjaśniejszego pana byliśmy w Dzieduszycach o dwie mile od Stryja, gdzie widzieliśmy nader osobliwe budynki. Dom niski, kształtu wieży, ma trzy piętra o dziewięciu pokojach, ozdobione prześliczną sztukaterią, obrazami, emblematami i napisami. Naokoło są korytarze. Budynek jest kwadratowy, pięć sążni długi i tyleż szeroki, z każdej strony jedne drzwi, sufit składa się ze schodów (?), tak, że kto

¹⁾ miasto na Górnych Węgrzech.



chce wyjść z większego pokoju, wszędzie zejść może po schodach, pod schodami zaś jest piwnica (?)

Budynek ten stoi w ogrodzie, także bardzo pięknym, ozdobionym drzewami owocowymi, kwiatami i różnymi gatunkami traw. Dokoła są wybornie zarybione stawy, obok z jednej strony mała rzeka, z drugiej zaś wielki zwierzyniec, w którym widziałem blisko osiemdziesiąt białych i podobnych do sarn danieli; tu też widziałem mały instrument, wyglądający jak skrzynka a zrobiony nakształt organów; kręcąc go, jak toczydło, można było wydobyć z niego siedemnaście różnych pieśni.

Budynek ten leży na równinie; góry w pobliżu nigdzie nie widać, położenie jednak jest bardzo ładne; właścicielem majątku jest Jerzy Dzieduszycki, koniuszy Rzeczypospolitej. Tu, w tem miejscu, dwa razy byłem jedynym towarzystwem pańskim.

Stąd wyruszyliśmy z jaśnie wielmożnym panem do naszego najjaśniejszego pana do miasta Jaworowa; o dwie mile od Stryja przejeżdżaliśmy przez most na rzece Dniestrze; rzeka ta podobna jest do Hernadu.¹⁾ Przejechawszy przez wieś Demnian, noc spędziliśmy w Szczerzycach, a wyruszywszy rano, dotarliśmy do G r ó d k a; i tu jest zamek zniszczony, który niegdyś, jak przypuszczam, był silny, otoczony szerokim stawem, głębokimi fosami i wysokimi basztami (z ziemi); twierdza ta zniszczała z powodu niezgody między panami, ale zamieszkała jest do dziś dnia. Potem przeszliśmy Bruchnal, gdzie obiadowaliśmy, i przybyliśmy do miasta Jaworowa.

W mieście mieszkał hrabia Berczenyi, najjaśniejszy car w zamku, nasz pan zewnątrz miasta we wsi Zalużu, u księcia Konstantyna. Przy przybyciu naszym była tam także i najjaśniejsza pani księżna. Księżę Dołgorukij, pierwszy minister najjaśniejszego pana, cara rosyjskiego, gościł tu najjaśniejszego cara, carową, naszego pana i ministrów, generałów, książąt i innych oficerów najjaśniejszego pana cara.

Czwartego czerwca wyruszyliśmy z Zaluża do wsi Wysocka, która niegdyś należała do króla Sobieskiego, teraz zaś tak wieś, jak i zamek jest własnością naszego jasnego pana. Najjaśniejszy car wyruszył wtedy właśnie do Jarosławia, gdzie tegoż dnia przybył najjaśniejszy król August, kiedy myśmy udali się do Wysocka.

W Jarosławiu posłaliśmy do hetmana wielkiego Sieniawskiego, bo w ten dzień częstował Sieniawski najj. cara rosyjskiego, carową, najj. króla, naszego pana, jego syna i żonę, księcia Radziwiłła, hrabiego Berczenyiego, innych książąt, wojewodów, generałów i starostów polskich; były cztery długie stoły: przy pierwszym siedziały wyżej wymienione osoby, przy innych panowie. W ten dzień odbył się chrzest trzynastoletniej córki jaśnie wielmożnej pani Sieniawskiej; po obiedzie tańczyli panowie do północy, potem rozszedłszy się, każdy jechał do domu w swoim powozie.

Wysocko, dopóki król (Sobieski) żył, był bardzo ładnym niskim, drewnianym budynkiem o jednym piętrze i kilku salach; wewnątrz i zewnątrz ozdobiony był od sufitu aż do posadzki małymi malowanymi k a s e t o n a m i, wyrabianymi na kształt kwiatów i innych form; kasetoniki na zewnętrznej ścianie będące prawdopodobnie już pozdzierano, ale wewnątrz w salach jeszcze się zachowały; każdy kasetonik kosztuje jeden tyńf, t. j. dwanaście poltury.¹⁾ Tuż przy nim jest ładny ogród, ozdobiony świerkami, nakształt słupów formowanymi, i innymi wysokimi szpalerami oraz rozmaitemi drzewami, jak: cytrynami, pomarańczami, jabłkami, granatami i różnymi drzewami i kwiatami; blisko niego płynie rzeka San, która jest niemniejsza od Bodrogu.²⁾

Z jaśnie wielmożnym panem wyruszyliśmy z Wysocka do Lwowa przez Jaworów, gdzie nocowaliśmy, a drugą noc spędziliśmy w Janowie, gdzie jest tak wielki staw, że przez niego nawet kulą nie można na drugi brzeg dosięgnąć. Tego dnia przybyliśmy do przedmieścia Lwowa, gdzie nocowaliśmy w domu wojewody kijowskiego.

Miasto Lwów leży pomiędzy wzgórzami, tak że widok zewsząd jest zamknięty; samo miasto nie jest bardzo duże, otoczone murem kamiennym i niezbyt głębokimi rowami, napełnionymi wodą. Targ posiada bardzo ruchliwy i tani, zasobny w towary kramarskie. W śródmieściu żydów niema, tylko na przedmieściu, tutaj zaś mieszkają polacy i niemcy. Kupcami są przeważnie francuzi i włosi. Przedmieście jest bardzo rozległe i rozciąga się na polach i wzgórzach. Rzeki niema.

D.C.N.

tt. dr. Adr. Diyéky.

¹⁾ rzeka na Górnych Węgrzech.

¹⁾ moneta węgierska.

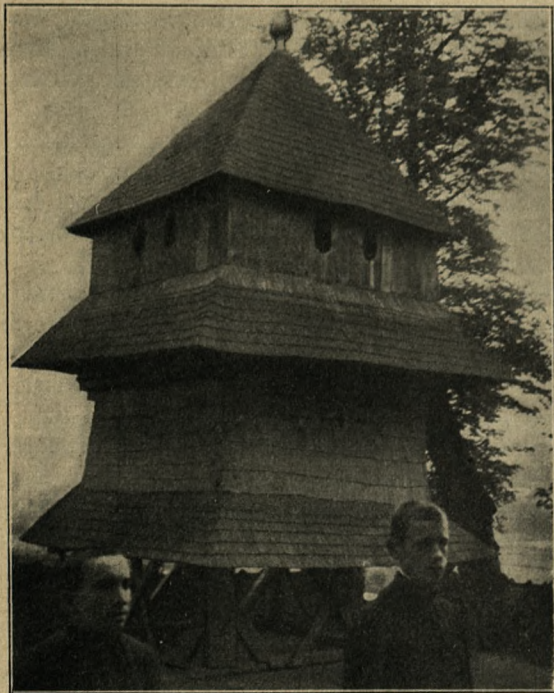
²⁾ rzeka na Górnych Węgrzech.





Cerkwie drewniane w okolicach

Lwowa.⁴⁾



DZWONNICA W ŻYRAWCE

fot. B. Janusz



fot. B. Janusz

CERKIEW W LESIENICACH

Pozatem cerkwie te nie różnią się niczem między sobą, stanowiąc pokrewne typy pochodne. Widzieliśmy uprzednio, jak ze zwykłej okazalszej nieco chaty powstała cerkiew przez pokrycie wywyższonego nieco czworoboku środkowego zwykłym dachem brogowym który później zamienił się w banię, rozpiętą naprzód jedynie nad nawą główną, podczas gdy części boczne t.j. babiniec i prezbiterium, pokryte były dachem siodłowym. Tak wyglądają omówione cerkwie jednobaniaste. Od tych zaś do trójbaniastych prowadził krok jeden tylko. Eksperyment, dokonany przez wywyższenie środka budowy cerkiewnej i pokrycie tegoż naprzód dachem brogowym, a później kopułą, naprowadzić musiał budujących cerkwie na pomysł zastosowania tego i przy nakryciu dwóch części pobocznych: babinca i prezbiterium. W tym celu bezpośrednio na pierwotnym dachu siodłowym ustawiono—podobnie jak przedtem rzecz się miała z partią środkową—również ośmiokątne bębny, na których rozpięto kopuły, mniejsze nieco od głównej, środkowej. W ten sposób otrzymano nowy rodzaj cerkwi drewnianej, na której jednak zupełnie widoczna została i nadal dawna, jej forma cerkwi jednobaniastej, od której wzięła początek. Resztki dachu siodłowego, podobnie jak i brogowe u partyi środkowej, widoczne zostały w miejscu,

skąd wyrastają bębny ośmiokątne, świadcząc najlepiej o zmianach, jakim ulegała cerkiew w biegu lat długich.

Innego rodzaju cerkwi prócz omówionych, nie udało mi się całkowicie odkryć w zbadanej okolicy Lwowa, dla której charakterystyczne są zatem zarówno jednobaniaste cerkwie w rodzaju np. cerkwi w Starem Siole, jak i trójbaniaste, reprezentowane np. przez cerkiew z Żyrawki. Co do terytorjalnego rozmieszczenia tych dwóch typów, to niema mowy o ściśle naznaczyć się dającej linii demarkacyjnej, a ogólnie tylko powiedzieć można, iż cerkwie trójbaniaste najzwyczajeszem są zjawiskiem, zwłaszcza w stronie północno-wschodniej od Lwowa, podczas gdy w reszcie miejscowości najwięcej trafia się cerkwi jednobaniastych. Za wyjątkowo zachowane zaś zabytki historyczne uważać należy cerkwie w Zniesieniu i Sichowie, do których podobne, nie wiem czy się znajdują gdzieindziej w Galicyi.

Przy każdej cerkwi znajduje się zawsze nieopodal od niej (ale nigdy razem) dzwonnica drewniana, młodsza lub starsza od samej cerkwi i zachowywana najczęściej w razie rozebrania starej cerkwi i zbudowania



wania nowej murowanej. O wyglądzie ich, bez wyjątku prawie jednakowym lub mało tylko odmiennym, dają najlepsze wyobrażenie dołączone zdjęcia fotograficzne. Dzwonnica z Żyrawki sięga roku zbudowania samej cerkwi (1770), dzwonnica w Zaskowie pozostała po zburzonej cerkwi drewnianej, służąc obecnie nowej cerkwi murowanej, a dzwonnica z Zapytowa młodsza jest o wiele od samej cerkwi, stanowiąc jedynak dziwnym swym wyglądem wypadek całkiem odosobniony. Dwie zaś pierwsze reprezentują doskonale rozpowszechniony w okolicach Lwowa typ dzwonnicy, znany i z innych stron kraju.

Nie wdając się w szczegóły podrzędniejsze, przedstawiłem w pracy niniejszej wyniki swych badań pobieżnych nad grupą cerkwi drewnianych na ściśle oznaczonym terytorium podlowskiem, które ogółem posiada (razem z kilkoma zniszczonymi) jeszcze 46 cerkwi drewnianych na 31 murowanych i 10 bliżej mi nie znanych. Ustawiając szereg cerkwi drewnianych, według znanych dat zbudowania —co do wielu bowiem, szczegółów tych nie udało mi się jeszcze zdobyć—otrzymamy spis następujący:

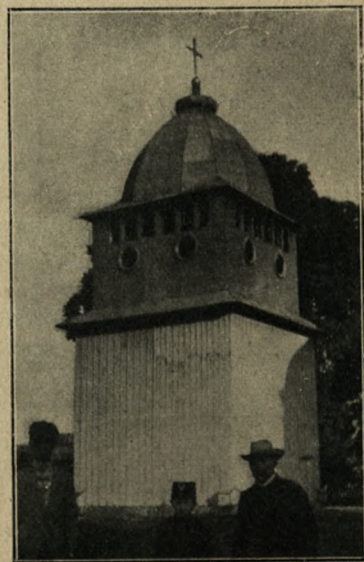
Zniesienie (rozebr.)	1605
Łozina (rozebr.)	1692
Krzywczyce (rozebr.)	1698
Sichów	poł. XVIII w.
Kukizów	1711
Remenów	1726
Ceperów	1731
Polanka	1733
Humieniec	1741
Rudańce	1741
Kozice	1752
Obroszyn	1752
Hamulec	1754
Czerepin	1754
Jaryczów stary	poł. XVIII w.
Sknitów (spal.)	1761
Wisłoboki	1762
Podborce	1764
Żyrawka	1770
Czarnuszowice	1781
Zapytów	1786
Pikutowce	1792
Tolszczów (rozebr.)	1796
Sołonka	1798
Pustomyty (spal.)	1813
Wierbiąż	1821
Stroniatyn	1854
Sieciechów	1871
Podliski	1871
Grzęda	1876
Chrusno	1895
Krasów	1895



DZWONNICA W ZAPYTOWIE

Najstarsza więc cerkiew pochodzi z 1605 r. a najmłodsza, zakupiona gotowa we Lwowie, gdzie zbudowana była umyślnie przez cieślę huculskiego dla kraj. wystawy, sięga ledwie 1895 r. Co do reszty 14 cerkwi, to nie udało mi się jeszcze odkryć roku ich zbudowania. Najstarsza zaś cerkiew murowana, w Zboiskach, stanęła w 1711 r., a szereg nowych szybkim tempem powiększa się coraz bardziej z widoczną szkodą dla skromnych ale estetycznych cerkiewek drewnianych. Za wzór wznoszonych w ostatnich latach cerkwi murowanych niechaj służy załączona podobizna cerkwi w Lesienicach zbudowanej w 1885 r. W jak dziwaczne kształty ubrał twórca jej chorobliwą swą fantazję architektoniczną? A przecież pokraki podobne wyrastają coraz liczniej, wypierając bezwzględnie i brutalnie dawne, estetyczniejsze twory mistrzów swojskich. O ile wyżej pod wieloma względami stała np. taka cerkiewka drewniana w Tolszczo wie, zbudowana przez prostego, „majstra lwowskiego Jana Michałkiewicza”, o którym i słówkiem nie wspomina żaden stary zapisek? A jednak musiała ona ustąpić miejsce nowemu, z pewnością nie lepszemu od innych, budynkowi murowanemu.

B. Janusz.



DZWONNICA W ZASKOWIE

fol. B. Janusz

Z podróży na Pomorze. ¹¹⁾



PRZYLADEK ARKOŃSKI Z WAŁEM GRODOWYM

Perunit miał cztery głowy, a na piersi piątą, oznaczającą powrót czyli nowonarodzenie grzejącego słońca.

Biskup Otton przybył podczas swej drugiej podróży pomorskiej do Hawelbergu w czasie święta Jarowita. Gród ubrany był w chorągiewki, a wrzał ogromnym tłumem ludu. Było to około 1 maja 1128 r. Radowano się i weselono z powrotu wiosny. Giesebrecht twierdzi, że w Wolinie obchodzono taką samą uroczystość Jarowita, chociaż tam nie było jego posągu, lecz tylko lanca.

W Gostkowie (Gotzkow) na Pomorzu stała za czasów Ottona Bamberskiego nadzwyczaj wielka i piękna świątynia. Znajdował się w niej olbrzymi posąg, którego nawet kilka par wołów nie mogło ruszyć z miejsca. Miał oczy, nos, ręce i nogi nadzwyczaj sztucznie i pięknie zrobione. Był to prawdopodobnie Rujnowit.

Świątynia w Szczecinie stała na górze najwyższej. Miała ściany wewnątrz i zewnątrz rzeźbione, pokryte malowanymi wizerunkami ludzi, ptaków i zwierząt. W jej wnętrzu znajdowały się dwa posągi jednego bóstwa, zwanego na miejscu dla trzech głów Triglawa m. Mniejszy posąg, czczony szczególnie przez kapłanów, był ze szczyrego złota. Drugi większy, drewniany, miał trzy srebrne głowy, co kapłani tem tłómaczyli, iż bóg jest panem ziemi, podziemia i nieba. Oczy i twarz jego były aż do warg przykryte złotą przepaską, ponieważ bóg milcząc i udając, że nie widzi, o grzechach ludzi nie chce wiedzieć. W świątyni składano, podobnie jak w arkońskiej, zdobycze i łupy, lecz bogu należała się, nie jak Swantowitowi, trzecia, lecz dziesiąta ich część. Były tu ustawione puhary, które szlachta przy uroczystościach brała do użytku. Znajdowały się też w niej wiel-

kie pozłacane a drogimi kamieniami wysadzone rogi do picia, inne do trąbienia, kopie, noże i rozmaite naczynia. Triglaw miał także swojego rumaka, jak Swantowit w Arkonie; różnił się on atoli od ostatniego, który był biały, maścią, gdyż był kary, Pielęgnowali go kapłani czterech szcześcińskich kątyn. Tak samo jak w Arkonie wisiało w świątyni szcześcińskiej zawieszone na ścianie siodło boga, bogato złotem i srebrem ozdobione. Używano tu też wyroczeni na sposób arkoński z tą różnicą, iż dobra wróżba była tylko wówczas, gdy koń trzy razy prowadzony przez wbite w ziemię oszcypy, żadnego z nich nie dotknął kopytem. Gdy było przeciwnie, tłómaczono, iż bóg nie chce wojny na lądzie.

Oprócz kultu grodów, istniały kultury ziem, na które zbierał się cały lud danej ziemi. Przynoszono bogom ofiary, a potem bawiono się wesoło. Ziemską boginią połabian była Żywa. Już nazwa jej oznacza życie. Podług niej nazywano maj żywą. Była ona żeńskim Jarowitem. Bogiem stargardzkiej ziemi w Wagrii był Prawo, przymiot głównego, jedyne bóstwo; nie miał on świątyni. Czczono go w lesie przy świętych dębach, otoczonych ogrodzonym dziedzińcem, do którego prowadziły dwa wejścia. Prawo miał też swą uroczystość z obrzędami ofiarnymi. Kult ten dowodzi, jak wysoko lud czcił pojęcie prawa i sprawiedliwości, oddając im boską cześć; kapłan tego bożka zwał się Mike, i wraz z księciem i gminem ludowym odbywał w świętym gaju sądy. Na dziedzińcu świętego drzewa nie wolno było nikomu wchodzić, tylko kapłanom ofiarującym i tym, którzy wobec groźącego śmiercią niebezpieczeństwa szukali tu schronienia.

Bogiem obotrytów był Radogost. Czcił go także i lutyce, zwani retarami. W ziemi ich, o cztery dni drogi od Hamburga, leżał święty gród boga, zwący się Retra, otoczony głębokiem jeziorem. Dojść można było do Retry jedynie mostem zaopatrzonym w dziewięć kolejnych bram. Do grodu mieli wstęp tylko ci, którzy bogu składali ofiary. W r. 1066, gdy uciśnani słowianie byli powstałi, złożono Radogostowi jako ofiarę głowę zabitego biskupa Jana z Meklenburga, wbitą na dzidę. W świątyni retrzańskiej stało wspiane łoże boga, zdobne w purpurę. Posąg jego był wznaczej części złoty. Inni lutyce: rycyni, czrezpianie, dołączanie posiadali swoje ludowe czyli ziemskie bóstwa. Każda ich ziemia miała swą świątynię. Słynna była świą-



tynia czerepian, położona w bliskości morza, którą hrabia z Nassau zburzył w r. 1152. Dytmar Merzeburski podaje o niej szczegóły.

Rujna, „święta wyspa”, słyęła przed wszystkimi ziemiami zachodnio - północnej słowiańszczyzny kultem i potęgą swoich bogów, z arkońskim Swantowitem na czele. Były to te same bogi, których czczono na innych ziemiach słowiańskich. Zachodziły tylko pewne miejscowe różnice. Głównymi punktami kultu religijnego były Arkona i Korenica, ostatnia, jako siedziba króla, polityczna stolica państwa.

Świątynia Swantowita w Arkonie stała wspornie na wysokim przyłdku białych skał kredowych nad samym morzem, na najbardziej na północ wysuniętej kończynie wyspy. Była sztucznie zbudowana z drzewa. Używała jak najszerzej sławy nie tylko z powodu wspaniałego swego wyposażenia, lecz dla wielkiej potęgi i znaczenia bóstwa, którego olbrzymi posąg znajdował się w jej wnętrzu. Zewnątrz zdobyły ją przedstawiające rozmaite podniosłe sceny, obrazy i figury. Wizerunek bożyszczka był nadludzko duży i dziwaczny. Miał cztery głowy, osadzone na tyłuż barkach. Dwie głowy stały na przedzie, dwie z tyłu, a to tak, że zarówno z przednich jakoteż tylnich głów jedna była na prawo, druga na lewo skierowane. Zarost twarzy na posągu był obcięty, włosy krótko ostrzyżone. Bóstwo trzymało w prawym ręku drogocenny róg, napelniany corocznie miodem po same brzegi przez kapłana, pełniącego służbę świętą. Lewe ramię było zgięte i oparte na boku. Suknia sięgała do podudzi, które zrobione były z rozmaitego drzewa, i tak zręcznie łączyły się z kolanami, że miejsce spojenia można było odkryć dopiero przy dokładniejszym przypatrzeniu się. Nogi, których podwaliny kryły się w ziemi, dotykały piętami podłogi. W pobliżu znajdowała się uzda i siódło bożyszczka. Potężny miecz ze srebra posiadał bardzo misterne ozdoby. Uroczyste uczczenie tego posągu odbywało się raz w rok, mianowicie mieszkańcy wyspy zgromadzali się tłumnie po żniwach przed świątynią, rznęli ofiarne zwierzęta i na cześć boga urządzali sutą stypę. Kapłan, który wbrew zwyczajowi krajowemu nosił długą brodę i włosy na dół spadające, zwykł był przed uroczysto-

ścią zamiatać świątynię czyściutko, głównie jej właściwą świętość, do której tylko jemu był przystęp dozwolony. Gdy to sprawował, baczył ściśle, by w świątyni nie oddychał, i dlatego, ile razy potrzebował odetchnąć, wybiegał przede drzwi, by bóstwa nie kalać ludzkim oddechem. Następnego dnia brał kapłan, gdy lud tłoczył się przy drzwiach świątyni, róg do picia i patrzył dokładnie, czy z nalanego miodu ubyło cokolwiek. Jeśli tak było, wróżył nieurodzaj na rok przyszły, gdy zaś zawartość rogu była nienaruszona, zwiastował urodzaj. Potem wylewał z rogu stary miód na ofiarę u stóp posągu, napelniając naczynie wypróżnione nowym płynem, a okazując uwielbienie dla posągu, przypijał z rogu do niego, prosząc przytem uroczystemi słowy o wszystko dobre dla siebie i dla swojego kraju, dla ludu zaś o nowe skarby i zwycięstwa, poczem duszkiem wychylał miód z rogu, napelniając go znowu tym płynem i składając go napowrót w prawicę boga. Przynoszono też na ofiarę okrągły piernik a tak duży, jak człowiek. Kapłan stawał go pomiędzy ludem a sobą, pytając się ludu, czy widzi go z poza piernika, a gdy otrzymywał odpowiedź, że tak, prosił boga o większy piernik na rok przyszły. Potem pozdrowiał lud w imieniu boga, upominając go, by i nadal gorliwie składał mu ofiary, za co otrzyma nagrodę t. j. zwycięstwo na lądzie i morzu. Po tym obrzędzie lud biesiadował i bawił się radośnie spożywając przyniesione na uroczystości dary i mięso ze zwierząt, zabitych bóstwu na ofiarę. Używać i bawić się, rozkielznanie, oznaczało bogobojność, mierność i powściągliwość były grzechem. Każdy mężczyzna i każda białka przynosiła corocznie bity pieniądz na wyposażenie posągu. Składano też w ofierze bóstwu trzecią część zdobytej broni i wszystkich innych łupów. Własnością boga było trzysta doborowych rumaków i tyluż bojowników, wyjeżdżających na tych rumakach na wojnę. Całą zaś swą zdobycz, czy wywalczoną czy w inny sposób nabytą, oddawał lud kapłanowi do przechowania, który za dochód z ich sprzedaży nabywał różne cenne osobliwości i wszelkie ozdoby dla świątyni.

D N.

G. Smólski.





PUSZCZA MYSZYŃIECKA

1)

Aby zobaczyć puszcę i kurpiów, a przede wszystkim, aby sprawdzić, o ile przestarzałe są wiadomości zebrane w „Wiśle” i w IV tomie Kolbergowego „Mazowsza”, wyjechałem z krewnym moim, Wł. Krzaczynskim, na trzydniową wycieczkę przez Przasnysz i Myszyniec do Ostrołki. Wybraliśmy dzień od 4 do 7 czerwca tem chętniej, że wtedy wypadaly uroczyste święta Zesłania Ducha św., które dały nam możność obejrzenia strojów kurpiowskich w całej pełni, i w pierwszy dzień świąt t. j. w niedzielę przyjechaliśmy o 3 rano koleją nadwiślańską do Ciechanowa.

Już słońce podniosło się od ziemi „na chłopą”, kiedy po zwiedzeniu kościołów, zamku i grodziska opuszczaliśmy miasto, aby szosą na Przedwojewo, Dzbonie i Wolę Wierzbowską dojść do Przasnysza. Początkowo spotykamy liczne gromadki chłopców i dziewcząt ubranych z miejska, a idących do ciechanowskich kościołów, lecz później gromadki te coraz rzadną i okolica staje się zupełnie bezлюдna, jakby wymarła. W Przedwojewie zdejmujemy kościółek przydrożny, ciekawy już przez to samo, że cały zbudowany z drzewa, a takich zabytków mamy coraz mniej w Królestwie; w Dzboniach zwracamy uwagę na piękny szczyt drewnianej chaty i fryz na piecu wewnątrz izby, malowany farbą i ochrą; w Woli Wierzbowskiej przyglądamy się drewnianemu, chłopskiemu Chry-

wieku opalano mierzwą i sadzono wierzyby na opał. Gęsto są tu rozsiane wsie drobnej szlachty, różniące się od chłopów, których szlachta nazywa kmieciami lub włościanami. Szlachta ubiera się z miejska: mężczyźni noszą czapki granatowe z daszkiem i długie ciemne surduty; chłopcy najchętniej szare kurtki austriackie z kieszeniami na pierśiach; odświętnie wystrojona szlachcianka wygląda zupełnie tak samo, jak nasza miejska służąca. Charakterystycznych strojów ani u szlachty, ani u chłopów nie widziałem zupełnie; zresztą już 20 lat temu w tych okolicach tylko staruszki zachowywały szczątki dawnych ubrań, reszta zapomniała o nich zupełnie. Około południa, minawszy pod Szlacheckimi Gołanami jedyny lasek liściasty, dosiegamy Przasnysza.

Miasto Przasnysz, leżące na krańcu puszczy, było niegdyś ożywionem targowiskiem wymiennem między rolniczymi ciechanowskimi szaraczkami a puszczańskimi kurpiami. Założone zostało według podania, powszechnie znanego z książek,

a powtórzonego nam przez włościanina Jana Wróblewskiego z Jednorozca, przez księcia mazowieckiego (Konrada I) na pamiątkę chłopca Prasnyska, który miał tu młyn i pasiekę, a zbląkanego na polowaniu knezia serdecznie ugościł. Obecnie miasto jest wprawdzie czyste i porządne, ale za to więcej, niż pospolite; jedyną osobliwością jego, i to wca-



KOŚCIÓŁ W PRZEDWOJEWIE

fot. K. Ruski

le nie piękną, są czerwone dachy blaszane; ze szczytu wieży kościoła pobernardyńskiego nie zauważyłem ani jednego, który byłby inaczej malowany. Są tu cztery kościoły, z których dwa (kościół św. Ducha i klasztor felicyanek) mniej ciekawe; z dwóch pozostałych piękniejszy jest św. Jakóba. Był on pierwotnie drewniany, a w XVI

le nie piękną, są czerwone dachy blaszane; ze szczytu wieży kościoła pobernardyńskiego nie zauważyłem ani jednego, który byłby inaczej malowany. Są tu cztery kościoły, z których dwa (kościół św. Ducha i klasztor felicyanek) mniej ciekawe; z dwóch pozostałych piękniejszy jest św. Jakóba. Był on pierwotnie drewniany, a w XVI



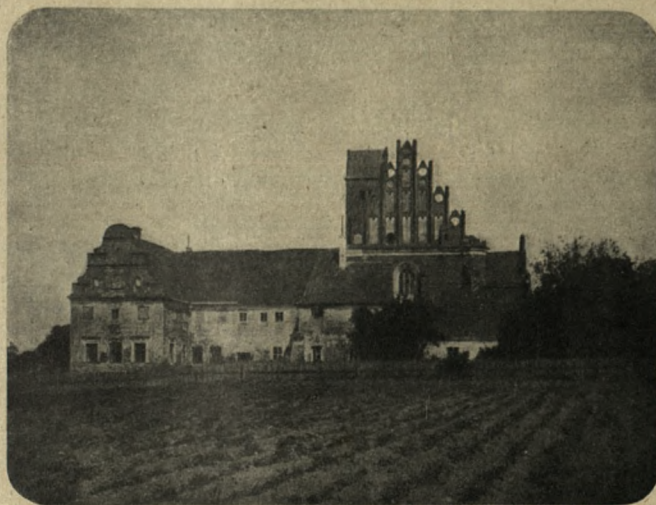
wieku na miejscu dawnego postawiono obecny murowany z klasztorem bernardynów. Czwartym i ostatnim jest kościół parafialny, wzniesiony w końcu XIV lub na początku XV w. w stylu gotyckim; liczne przebudowania zmieniły go jednak zupełnie. Przy tym kościele jest piękna dzwonnica i stary dzwon z 1615 roku.

Gościnnie podejmowani przez panie Gutowskie, rodzinę miejscowego nauczyciela, spędzamy chwil parę na odpoczynku i pogadance. Przedewszystkiem dowiadujemy się, że kurpie okoliczni umieją niezmiernie pięknie malować jaja wielkanoce; że główne ich siedziby obejmują wsie: Baranowo, Jednorożec i Zareby; że co sobotę zbierają się oni w Przasnyszu, skąd z krzykiem i śpiewami rozjeżdżają się na zarobek. Obok tego panie potwierdzają powziętą przez nas w drodze wiadomość o niezwykle uroczystym odpuszc, jaki odbywa się dzisiaj w świętem miejscu pod wsią

Bartnikami; nie tracąc więc czasu, opuszczamy Przasnysz i z nowym zapasem sił wędrujemy do Bartnik. Trudno sobie wyobrazić drogę gorszą niż nasza, szosa bowiem kończy się w mieście i mamy przed sobą niezmierzone piaski — istne morze dziadowskie. Rzadko zdarzy się krajobraz, który byłby rzeczywiście niepiękny, a jednak o okolicy Przasnysza śmiało to można powiedzieć; wprawdzie gdzieś daleko na północnym-zachodzie mającą wzgórze pojezierza; wprawdzie mamy nawet przy sobie notatki o niezwyklej płodności gleby tamtejszej, o malowniczości wawozów rzecznych i bujnej roślinności, ale to wszystko niewiele dodaje uroku rozciągającym się przed nami piaskom, skopanym i stratowanym przez wojska, odbywające tutaj ćwiczenia doroczne. Nad piaskowem morzem wisi pogodne, ale ciemne i jakby zakurzone niebo, a po drodze, jak po szlaku

kuczmeńskim, tam [i sam pędzą bryczki, wznosząc istne tumany pyłu. W tych mgłach płaszczytych błyskają chustki, zakurzone spódnice i uznojone twarze rojów pobożnej szlachty i chłopstwa, wracających piechotą z odpustu. W całym tym tłumie ani jednego stroju ludowego, wszędzie miejska tandeta; zwraca tylko uwagę znaczna ilość ładnych twarzy wśród dziewczyn, czego później u kurpiów, mimo najszczęśliwszych chęci i wbrew powziętym z książek wiadomościom, nie mogliśmy się dopatrzeć.

Dosiegamy wreszcie zatopionych w piasku Bartnik i z wytkniętej uprzednio drogi zbaczymy umyślnie do świętego miejsca zobaczyć ów sławny odpust. Jakoż, po niespełna trzech wiorstach męczącej podróży spostrzegamy za lichym sosnowym laskiem malutki i niezmiernie brzydki kościółek. Jest to drewniana stodoła, pokryta blaszanym, malinowym dachem, z dwiema również



KLASZTOR POBERNARDYŃSKI W PRZASNYSZU

fol. K. Ruski

blaszanemi wieżyczkami. Przed kościołem — chorągwie, tłum, budy i budki; ziemia zryta i zdeptana, jak na stajennem podwórzu. Stajemy na chwilę, bo oto gną się karki, chylą proporce i po krótkiej modlitwie gromada ludzi z rozgłośnym śpiewem i łopotem chorągwi przerywa tłum i ginie w złotych piaskach i chmurach kurzu. Zapytany chłop objaśnia, że to kompania z Lipy odeszła, i że wnet odejdą kurpie z Jednorożca; przeglądamy więc śpiesznie kramy i stroje, ale poszukiwania zawodzą. Wreszcie od północnej strony kościoła uderzają nas w oczy na opodal stojących bryczkach, jakieś derki dziwnie jaskrawe, na dziewczynach — gorsety i spódnice samodziłowe, zapaski pasiate, krasne, warkoczki spuściste, splecione, z wstążką na plecach. Otóż i kurpie.

(D. C. N.)

Kazimierz Ruski.





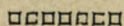
Z zabytków sztuki i kultury polskiej



DAWNA GOSPODA FLISACKA NA SOLCU W WARSZAWIE

fol. M. Wisznicki

W brudnej i zanieczyszczonej dzielnicy nadrzecznej w Warszawie znajdują się gdzieniegdzie — może właśnie dzięki temu opuszczeniu — budowle, przypominające czasy dość już dawno minione. Jedną z nich jest stary domek podcieniowy, kryty dachówką, jeszcze przed laty kilkunastu gospoda flisacka.



Z Polsk. Tow. Krajozn.

+ Na fundusz wydawnictwa dzieł Nałkowskiego w ciągu ostatniego miesiąca wpłynęły następujące ofiary:

Zebrano za pośrednictwem „Nowej Gazety” 314 rb. 5 kop.

Od Polskiego Związku Nauczycielskiego rb. 82 kop. 48.

Od Oddziału kieleckiego P. T. Kr. rb. 10.

Od p. Bohdana Dyakowskiego. rb. 3.

Razem rb. 409 kop. 53.

Łącznie z ofiarami poprzednimi (zob. № 37 „Ziemi”) — 2559 rb. 43 kop.

+ Dnia 14 b. m. odbyło się pierwsze powakacyjne zebranie członków Oddziału piotrkowskiego. Zagaił

je prezes, zdając sprawę za ubiegłe trzy miesiące wakacyjne, które choć zwykle uważane za beczynne, wykazały jednak żywą działalność Zarządu. W sierpniu urządzono wycieczkę do Tomaszowa Rawskiego i Błękitnych źródeł, we wrześniu do Gidel i Widzowa — obie dosyć liczne, bo przy udziale kilkudziesięciu osób. W tym czasie do biblioteki napłynęły ciekawe dary, że wspomnimy choćby starożytnie księgi: z XVI wieku zbiór praw magdeburskich czyli tak zw. „Zwierciadło Saskie”; z XVII w. dzieje zakonu Premonstratenskiego — skreślone przez ks. Kraszewskiego, opata witowskiego, zawierają nie jeden szczegół przeszłości oko-

lic Piotrkowa; z XVIII w. rękopiśmienny kodeks wizyt dekanalnych z Radomskowskiego i Brzezińskiego; z XIX wieku Atlas województw Królestwa Kongresowego w opracowaniu Colberga (r. 1826). Do rzeczy ściśle muzealnych należą: piękne hafty kościelne z XVII w.; „Antemissam” — po ś. p. ks. Karpowiczu, unicie; żarna z opoczyńskiego — oraz żarna przedhistoryczne ze zbiorów ś. p. Glogera w Jeżewie na Podlasiu. Rozpatrywano dalej nadesłane komunikaty Centrali, dotyczące narady delegatów i rozwoju organu T-wa „Ziemia”.

Dowodem żywotności Oddziału jest wzrastająca liczba członków, pomimo dotkliwych szczerb, jakie w ostatnich czasach poniosło Towarzystwo tutejsze. Ubyło wprawdzie 8 osób, głównie przez wyjazd z Piotrkowa, przybyło zaś 9. Dotkliwą, trudną do powetowania stratę poniósł Oddział przez śmierć dwóch członków: ś. p. Konrada Ziemińskiego i Henryka Wojewódzkiego. Na wniosek przewodniczącego, uczczono pamięć ich przez powstanie.

Na zakończenie posiedzenia p. M. R. Witanowski wygłosił odczyt o wycieczce na Kaszuby, który przed tygodniem wygłoszony był na zebraniu Oddziału T-wa Krajoznawczego w Łodzi. Niestety — bardzo ciekawe przezrocza, przygotowane w tym celu w Krakowie z klisz łaskawie użyczonych przez p. Z. Majcherskiego, na czas oznaczony nie nadeszły.



+ Piękna polska jesień nie przestaje nęcić urokiem powabów swoich, to też warszawskie wycieczki krajoznawcze cieszą się stale nadzwyczajnym powodzeniem. Urządzona w niedzielę 22 października wycieczka zgromadziła 150 osób, wiele zaś jeszcze odeszło niezadowolonych, gdyż nie dla wszystkich starczyło biletów.

O godzinie 12-ej z minutami przy pięknej pogodzie wyruszyła wycieczka z dworca Kaliskiego. Na stacy Płochocin z radością opuszczono wagony, aby obłani słońcem użyć parowiorstowej przechadzki przez pola puste już wprawdzie, ale ożywione dość gęstem zadrzewieniem o różnobarwnym liściu, po części zaścielającym już drogę.

Zdała widniały mury wspaniałego kościoła w Rokitnie, celu wycieczki. Po przybyciu na miejsce przewodniczący, p. Maszki, w krótkich słowach opowiedział przeszłość kościoła, sięgającego początkiem XIII wieku. W murach świątyni oczekiwał sędziwy ks. kanonik Sędzikowski, który, rozszerzając zdobyte przed chwilą wiadomości, pokazywał osobliwości kościoła w stylu odrodzenia. Budowała ta nie powstydziałby się z pewnością stanąć obok pięknych świątyni Warszawy. Z wysokiej wieży przyglądano się okolicy. Płaszczyna mazowiecka pozwoliła ogarnąć szeroki horyzont, ukazując majaczącą w dali puszcę Kampinoską, miasteczko Błonie, wijącą się rzeczułkę Morawę i wiele porozrzucanych naokół wsi. Na cmentarzu kościelnym obok wykończanej dzwonnicy próbowali wycieczkowiec dzwiczności głosu wielkiego dzwonu, zawieszonym tymczasowo na słupach, a sprawionego w roku ubiegłym staraniem miejscowego kanonika ku uczczeniu pamięci Grunwaldu. Dzwon ten ochrzczono imionami bohaterów z przed lat 500 „Władysław i Witold”.

Następnie udała się wycieczka do odległego o 1 $\frac{1}{2}$ wiorsty Józefowa. W drodze zarządzono krótki odpoczynek, nie tyle z potrzeby wytchnienia, bo zmęczonym nikt się nie czuł, ile dla zażycia przyjemności posiadzenia na resztkach trawy wśród szumiących olszynek. Gwaro tu było, jak w ulu, a głos trąbki wzywający do powstania niemiłe drażnił ucho. Przykazania jednak, powtarzane na biletach, nauczyły już posłuchu i rygoru. Po 15-minutowym marszu znaleźli się zwiedzający na dziedzińcu fabryki. Tu oczekiwali już pp. zarządzający i pracujący w cukrowni i z uprzejmością wzięli gości w swą opiekę. Podzieleni na 4 grupy z wyznaczonymi przewodnikami ruszyli wszyscy na oględziny zawilego procesu przetwarzania buraków w cukier. Niemordowani przewodnicy powtarzali objaśnienia bez końca, chcąc zadowolnić ciekawość słuchaczy profanów, których prowadzono taką drogą, jaką idzie burak aż do przeobrażenia się w głowę cukru. W rafinerii było trochę przygorało, wychodziliśmy stamtąd pąsowi, jak szkarłat, obłani potem, ale zadowoleni, że jesteśmy tu tylko w charakterze gości, gdy tymczasem miejscowi robotnicy pracują w tej łaźni całe 12 godzin. Po zwiedzeniu całej fabryki gospodarze zaprosili wycieczkę na herbatę i przekąski.

Odgłos trąbki gromadzi znów wszystkich obok przewodniczącego. Podziękowawszy serdecznie uprzejmym gospodarzom, podążono do stacy. Zadowolenie

z wycieczki odbija się na usposobieniu powracających. Wesole śpiewy, gwar rozmów, wybuchy śmiechu odbijają się od ścian wagonów. O 8-ej stajemy w Warszawie. Wyraziwszy wdzięczność swą przewodniczącemu, gromada się rozpięzcha, każdy dąży do domu, zadowolony z dnia dobrze spędzonego.

Przebieg pogody w m. Wrześniu 1911 r.

Sprawozdanie Wydziału Meteorologicznego P. T. K.

Wrzesień miał w znacznej części ciepłą i suchą pogodę tegorocznego lata. Szczególnie gorąco było na początku miesiąca; 3 września notowano po południu temperaturę upalną, przekraczającą miejscami 31°C w cieniu. Wprawdzie zaraz potem silne wiatry północno-zachodnie przyniosły znaczne oziębienie, trwające dni kilka, lecz następnie temperatury znów podniosły się i panowała naogół pogoda łagodna. Wyjątek stanowią tylko okresy koło dni 12, 18, 30 września, w których też notowano najniższe temperatury, spadające nocami do 1°C.; średnie temperatury miesięczne wahały się koło 13°, 6 C. i były przeszło o 1 $\frac{1}{2}$ ° wyższe od normalnych.

Trwanie usłonecznienia było też większe od normalnego, ale niewiele, a to z powodu mgieł jesiennych, często zasnuwających niebo pod koniec miesiąca. Wyniosło ono w Warszawie 171 godzin.

Opady były umiarkowanie częste, lecz mało obfite z wyjątkiem Zagłębia Dąbrowskiego, Kieleckiego i części Siedleckiego, gdzie były normalne (40—60mm.) i Lubelskiego (50—80 mm.), gdzie nawet przekroczyły normę. Natomiast bardzo jaskrawo zaznaczyła się susza w okolicach Piotrkowa i w Suwalskiem (10—20 mm. opadu), które we wrześniu zajmuje normalnie jedno z pierwszych miejsc w kraju pod względem obfitości opadów. Średnia wysokość dla całego Królestwa wyniosła —31 mm. w 8—9 dniach czyli blisko o 1/4 mniej, niż średnio w 10 latach ubiegłych.

Dane poszczególnych stacy P. T. K.

a) Opady:	Wysokość w mm.	Liczba dni:
Bieliny (p. kielecki)	51	10
Św. Krzyż („ „)	52	11
Suchedniów („ „)	38	9
Jędrzejów (p. jędrzejowski)	51	9
Wysokie (p. krasnostawski)	67	10

b) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 202 godziny.

□□□□□□□□□□

Nowe książki.

BOHDAN JANUSZ. Typy etniczne i kulturalne w prahistorii Galicyi wschodniej; osobne odbicie z kwartalnika etnograficznego „Lud”, 1911. T. XVII, zeszyt II i III.

Archeologia nasza przedhistoryczna bardzo jeszcze uboga jest w pracę syntetyczną (taka jak dr. Włodzimierza Demetrykiewicza: „Vorgesichte Galiziens” w Die österreichisch-ungarische Monarchie in Wort und



Bild. Lieferung 280 i 281, stanowi rzadki a cenny wyjątek). Pan Janusz śmiało podjął trudne przedsięwzięcie, a na str. 4 i 5 zaznaczył, iż zna i rozumie te właśnie trudności: niedostatek materiału naukowego i niezupełne często dane towarzyszące zebranemu już materiałowi. Jednak opierając się na tem, czego dostarczyli pracami swemi Al. Kirkor, G. Ossowski, dr. Włodzimierz Demetrykiewicz oraz Izidor Kopernicki i Majer, autor przystępuje do dzieła.

Potrzebę syntezy poczynamy odczuwać wszyscy. Praca syntetyczna, chociażby nawet mniej doskonała, przecież orientuje nas i wykazuje, co znamy, a czego nam jeszcze do pełni wiedzy potrzeba.

Panu Januszowi należy się najwyższe uznanie za podjęte trudy wysuwania ważnego przyczynku, rozjaśniającego to, co zachodziło na ziemiach Galicji Wschodniej (okolice Dniestru w epokach przeddziejowych).

Autor potrafił wyodrębnić mieszkańców pierwotnych (tubylców), osiadłych tu w zaraniu neolitu (początek epoki kamienia gładzonego), których kultura idzie nieprzerwanie aż w następne epoki metalów (bronz—żelazo). Mieszkańcy ci przez wtargnięcie od południowego-wschodu ludu o kulturze naczyń malowanych na pewien czas są niejako zakryci i przyćmieni przez ten nowy niezwykle wysoce kulturalny lud przybyszów. Gdy jednak po upływie jakiegoś czasu lud ten napływowy odchodzi znowu ku południowi, tubylcy rozwijają się dalej i pozostawiają w ceramice epoki metalów (bronz—żelazo) typy i ślady właściwe im jeszcze z epoki neolitu (kamienia polerowanego) t. j. mają mimo inwazyi obcej ciągłość kultury własnej.

Słowianie albo lud ten wyparli albo też zajęli tylko ziemię, które lud tubylczy przed ich przyjściem opuścił.

Taka jest istota pracy p. Janusza.

Autor z całą ostrożnością opiera się na materiale naukowym, wyciąga wnioski i czyni b. trafne spostrzeżenia. Choćby nawet kiedyś nowe fakty i znaleziska mogły pracę p. Janusza uzupełnić a nawet sprostować, to przecie niemniej „Typy etniczne i kulturalne w prehistorii Galicji wschodniej” stanowią w chwili obecnej nowy poważny a nadewszystko bardzo pożądaný dorobek naukowy.

Maryan Wawrzyniecki.

Kronika krajoznawcza.

+ W *Ziemi lubelskiej* czytamy: Zniszczenie parku w Puławach, szczególnie alei, wiodącej do jednej z najwspanialszych niegdyś rezydencji Czartoryskich, obecnie przerobionej na instytut agronomiczny, postępuje bardzo szybko. Trudno sobie wyobrazić nawet zaniedbanie, jakie przedstawia przepyszny ten do niedawna park. Stan tego parku, a zwłaszcza dojazd poszóstną aleją od strony Końskiej Woli, jest w rażącej sprzeczności z celem i zadaniami teraźniejszego instytutu, mającego kształcić przyszłych gospodarzy roli nych i leśników.

W parku zniszczenie widoczne jest na każdym kroku. Na wspaniałem ongi podwórzu stoi jakby cudem ocalała lipa.

Stan ogrodzenia, bram i budynków godzien jest pożałowania. Piękna oranżerya z fasadą grecką poza tunelem, jest w stanie ostatecznej ruiny. Terytorium parku i rezydencji zeszpecili fatalnie budowle mieszkalne (z lewej strony alei głównej dla profesorów, oraz budy dla stacyi wodociągowo-gazowej) w samym sercu parku wzniesione.

Wogóle, patrząc na widoki Puław z roku 1830 i, spojrzawszy na teraźniejsze przeróbki, trudno już nawet odnaleźć pierwotny zarys wspaniałego pałacu.

+ W ciągu dni 26—28 września we wsi Łanki-szkach w gminie średnickiej pod Kownem dokonano pod kierunkiem kustosa muzeum naukowo-przemysłowego w Kownie, p. T. Dowgirda, poszukiwań archeologicznych na obszarze odwiecznego cmentarzyska.

W 11 grobach znaleziono 15 bransolet bronzowych, 2 naszyjniki bronzowe, 2 żelazne cełty (rodzaj siekier starożytnych), 4 ostrza kopii bardzo zardzewiałe, nieco ułamków przedmiotów nieznaných, śród których jeden z kształtu przypominający sierp.

P. T. Dowgird znajduje, że zdobycz to jest bardzo nieznaczna w stosunku do ilości rozkopanych grobów.

□□□□□□□□

Od Administracji.

Przypominamy Sz. Czytelnikom, że czas uregulować zaległą przedpłatę za IV kwartał.

TREŚĆ: M. Federowski—Zygmunt Gloger (z 4 ryc.); K. Kulwieć.—Roślina w krajobrazie. Dr. Adr. Diveky Z podróży Węgrów w Polsce. B. Janusz.—Cerkwie drewniane w okolicach Lwowa. (z 4 rys.) G. Smólski — Z podróży na Pomorze (z 1 rys.). Kazimierz Ruski — Puszcza Myszyniecka (z 2 rys.). Zabytków sztuki i kultury polskiej (z 1 rys.) Z Polskiego Tow. Kraj. Meteorologia. Nowe książki. Kronika krajoznawcza.

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście (motywy kujawskie) rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskauera.—Składał i lamał Ignacy Miazga.—Odbijał na maszynie Władysław Kaczorowski.—Kilase wykonane w zakładzie B. Wiersbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć